№ 58

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 27 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1836.

PRAWDZIWA PRÓBA MIŁOŚCI.

POWIASTKA MORALNA DLA UŻYTKU MAŁŻEŃSTW.

Z dzieł Bulwera.

I.

Nigdy nie widziano dwóch osób kochających się namiętniej, jak Adolf i Celestyna. Miłość ich przeszła w przysłowie. Nie potrzebuję wzmiankować, iż kochanie ich było nieszczęśliwem; nigdy zupełnie szczerze nie kochamy, gdy nikt się przywiązaniu naszemu nie sprzeciwia. Duch sprzeczności niepojęte sprawia skutki.

Adolf był bogaty i znakomitego rodu; Celestyna ze ślacheckiego pochodziła domu, lecz była ubogą. Rodziny ich żyły z sobą w nieprzyjaźni: rodzina Adolfa była nadzwyczajnie ambitną, a Celestyny nie mniej wygórowaną posiadała dumę. Lecz gdyby nawet ojcowie ich najlepszymi byli przyjaciołmi w świecie, nigdy nie przystaliby na związek swych dzieci: ojciec Adolfa dla tego, że pragnął dla niego bogatszego ożenienia; ojciec zaś Celestyny zbyt był dumnym, aby się chciał obarczać wdzięcznością, a nazbyt znał świat, aby nie wiedział, iż będzie obowiązany być wdzięcznym bogaczowi, który raczy wziąć córkę jego bez posagu. Ojciec Celestyny żadnej nie robiłby trudności, aby wydać ją za nowo-zbogaconego, gdyż korzystając z pieniędzy zięcia, jeszczeby się mógł chlubić, że mu zaszczyt czyni. Jakoż, skoro tylko spostrzeżono wzrastające przywiązanie kochanków, rodzice uznali konieczną potrzebą, okazać jak najstraszniejsze zagniewanie. Żadnej bowiem wątpliwości nie podpada, iż mają samowładne prawo nad oczyma i sercem swych dzieci. Dzieci nie powinny się starać być szczęśliwe, tylko w sposób przypadający do widoków rodzicielskich. Te prawdy tak niezaprzeczone, bardzo jednakże zaprzeczalnemi wydawały się w oczach Adolfa i Celestyny. Chociaż Celestynę zupełnie zamknięto, a Adolf bacznie był strzeżonym, nie przestali dla tego pisywać do siebie często, a nawet widywać się niekiedy. Miłość ich nie była przemijającym kaprysem: pomimo wszelkich trudności, przeszkód, niebezpieczeństw, przy końcu roku jeszcze się namiętniej kochali. Celestyna odważnie pogardziła dwoma młodymi kupcami, pięknymi, zakochanymi, i starym bankierem, który najdalej za pół roku byłby ją wdową pozostawił. Adolf, tak świetny, tak mile wszędzie widziany, wyrzekł się zupełnie miłostek i tryumfów. Odkąd poznał Celestynę, dla niej jednej miał tylko oczy.

Ale chociaż czas miłość ich powiększył, nie przyniósł im jednakże nadziei. Zaczynali lękać się i rozpaczać. Róże ustąpiły z policzków Celestyny, i śmiertelna je bladość powlokła; usta straciły zwyczajny uśmiech; kształty lubą okrągłość; oczy jej zawsze były łez pełne, a westchnienia jej rozdzierały serca wszystkim domownikom. Zachorowała nakoniec; biedna Celestyna umierała z miłości. Gwał-

towna namiętność Adolfa nadwerężyła także jego zdrowie. Gorączka krew jego paliła; wyrazy z ust jego wychodzące, często nie miały żadnego związku. Dziad i pradziad jego cierpieli obłąkanie, wszystko zapowiadało, że Adolf dotknięty jest także tą familijną chorobą.

Przestraszony, lecz nie zmiękczony ojciec zakochanego, tę poważną rozpoczął z nim rozmowę:

— Wyrzecz się, — rzekł, — tej niedorzecznej miłości..... choćby tylko na czas niejaki. Próżniactwo jest źródłem tego młodzieńczego szaleństwa. Poświęcę połowę majątku, aby ci się postarać o ową dostojność, która od dawna była ostatnim celem twojej ambicyi. Mój synu, jesteś młody, dumny, chciwy sławy; majątek twój i sława będą na zawsze zapewnione. Z ukontentowaniem uczynię ci tę ofiarę, bylebyś tylko wyrzekł się Celestyny.

Adolf silnie uścisnął rękę ojca, i wyrzekł z zapałem:

— Niepodobna! jedno jej spojrzenie droższem mi jest nad wszystkie marzenia wielkości i sławy.

Przekonani nakoniec, iż nie wolno im będzie żyć razem, utworzyli rozpaczny zamiar, nie żyć rozdzieleni, to jest: postanowili odebrać sobie życie. Żałuję mocno, żem nie mógł dostać listów, które do siebie w tym przedmiocie pisali. Nic jeszcze nie czytałem tak prostego i rozczulającego. Ktokolwiekby je czytał, musiałby uważać za najnaturalniejszą w świecie zasadę, iż osoby, kochające się prawdziwie, powinny mieć zawsze przy sobie dozę niebezpiecznego kwasu; kto wie, czy jakowy przypadek nie rozłączy ich niespodzianie? a żyć rozdzieleni...! Ah! stokroć razy lepiej nie żyć wcale!

Kochankowie umówili się więc nie żyć razem jednej nocy. Ostatnie ich listy skropione były łzami.

Była już jedenasta z wieczora; Adolf wszedł do swego pokoju, wziął flaszeczkę z onym kwasem, i smutnie na nią spoglądał.

— Jutro, — odezwał się w roztargnieniu, — jutro — (i odetknął flaszeczkę), — jutro..... jakże ma zapach nieprzyjemny..... jutro serce moje cieszyć się będzie pokojem; to serce — (wstrząsnął flaszeczką), — jakże się pieni....! to serce bić przestanie.... a okrutni nasi rodzice nie odmówią nam przecie wspólnego grobowca.

Kończąc te słowa, ciężkie wydał westchnienie, i połknął nieszczęsny płyn, wymawiając imię Celestyny.

Tymczasem ojciec i matka Adolfa siedzieli jeszcze przy wieczerzy. Stary kredencerz, który obtarł sobie oczy, gdy Adolf wychodził z jadalnej sali, kręcił się niespokojny, wchodził, wychodził, jak człowiek, któremu coś cięży na sercu. Panu niezmiernie się jeść chciało, a pani spać: nie zważali zatem na dobrego starca. Nakoniec, gdy wszyscy inni słudzy odeszli, szukał pozorów, aby nie wyjść za nimi. Potrzykroć ustawiał inaczej szklanki i karafki.

— Już tak dobrze; dosyć Jakóbie; zamknij drzwi za sobą.

— Jaśnie Wielmożny Panie..... tak jest, Jaśnie Wielmożny Panie..... Czy Pan....? Hm!

— Czego chcesz?

— Młody nasz panicz, Jaśnie Wielmożny Panie...., tak jest, Jaśnie Wielmożny Panie....

— Panicz? I cóż...?

— Ach! lękam się, czy mu tam czasem co się nie zrobiło. Czy Jaśne Państwo uważali, jakie miał spojrzenie, gdy z sali wychodził?

— Doprawdy, tak nie uważałem, właśniem tranżerował kapłona.

— A Jaśnie Pani? pocałował rękę Pani z taką czułością!

— Ach! — ziewając — bo też ma wyśmienite serce to nieocenione dziecię!

— Jaśnie Pani... doprawdy... nie lubię robić wniosków.... lecz.... lecz.... panicz od kilku dni dziwaczne sam do siebie prawi rzeczy, dzisiaj truł psy przez całe rano, i mówił, że robi doświadczenia.

— Trucizna! — zawołała matka, której się nagle całkiem spać odechciało; — czy to doprawdy była trucizna?

— Niestety! Jaśnie Pani; nosi jej zawsze pełne kieszenie.

— Nieba! — krzyknął ojciec; — tak być nie powinno..... mógłby czasem w rozpaczy..... Osobliwy

też-to chłopiec..... Dziad jego i pradziad poumierali w obłąkaniu. Spieszę do niego.

— I ja także! — zawołała matka.

Poczciwi rodzice pobiegli do pokoju Adolfa; otwierając drzwi posłyszeli jęki, i ujrzeli syna rozciągniętego na łóżku, bladego, z obłąkanemi oczami; na stole stała flaszeczka, etykietowana *Trucizna*; flaszeczka ta była próżna.

— Synu! synu....! nie popełniłeś zapewne zbrodni..... nie wypiłeś.... mów.... mów...!

— Ach! cierpię męczarnie.... och! och! umieram. Dajcie mi pokój! Celestyna także się struła.... Nie pozwoliliście nam żyć razem..... Okrutni rodzice..... wyzywamy was.... nie zabronicie nam razem umrzeć!

— Wyzdrowij, wyzdrowij tylko synu..... a Celestyna będzie twoją żoną, — zawołała matka, dostając prawie spazmów.

Ojciec już wybiegł po Doktora. Doktór mieszkał blizko domu Celestyny, i podczas, gdy co prędzej przysposabiał *antydotum*, ojciec Adolfa tyle miał ludzkości, iż pobiegł do ojca Celestyny, aby go o smutnym uwiadomić wypadku. Biedny starzec poszedł, jak tylko mógł najprędzej, do pokoju córki. Szczęściem zastał tam żonę, która przed położeniem się chciała jeszcze dać córce kilka rad zbawiennych, a szanowna matrona bardzo była przewlekłą w swej mowie. Celestyna niecierpliwie czekała jej odejścia; umierała z chęci, widzieć się jak najprędzej nieżywą. Wtem z największym pośpiechem ojciec wpadł nagle do pokoju.

— Moje dziecię, moje dziecię.... straszliwe, okropne nowiny.....! Celestyno! żyjesz, żyjesz-że ty jeszcze...? nie zatrułażeś się....? Ten młody szaleniec już.....

— Już...! — krzyknęła Celestyna załamując ręce; — już....! czeka więc na mnie. Ach! stawię się przynajmniej na tę ostatnią schadzkę!

Rzuca się do łóżka, wyjmuje flaszeczkę zpod poduszki; lecz ojciec za nią goni; dopada, wydziera z rąk flaszeczkę, a córka jego pada, miotana tak straszliwemi konwulsyjami, iż zdają się być zarówno niebezpieczne, jak sama trucizna.

(Dokończenie nastąpi.)

T a b a k a.

Jakże też nadzwyczajna manija zażywania tabaki mogła napaśdź ludzi!

Łatwiej jeszcze wytłumaczyć sobie palenie tytoniu; przynosi nam jakieś roztargnienie, odurza na chwilę i w lube wprowadza marzenia. Ale na cóż się przyda ów pył, który w tabakierce nosimy przy sobie, i w pewnych odstępach czasu w nos pakujemy?

A jednakże zażywanie tabaki wkorzeniło się w nasze obyczaje, i stanęło w rzędzie najpierwszych potrzeb.

Tabaciarz, prawdziwy tabaciarz, należy do owych stworzeń, o których Biuffon zapomniał, i nie zostawił nam ich opisu; prawdziwy tabaciarz nie pojmuje życia bez tabaki; cały żyje w tabakierce. Tabaka jest duszą jego duszy, bożyszczem jego serca i nosa.

Ale czy też wiecie, iż prawdziwy tabaciarz pogardza *Makubą*, *Fabatonko* przykry dla niego ma zapach, spokojnym nosem spogląda na *San-Vincenco* i *Portorico*? Czysta tabaka, bez żadnej mieszaniny, jest mu najmilsza.

Mówią, że tabaka mózg ożywia, oczyszcza soki, rozwesela umysł, sprawia zbawienne wstrząśnienie i obudza myśli..... u tych, co myśleć umieją.

Ale obróćmy medal na przeciwną stronę! Bóg wie, ile-to jeden niuch tabaki, z rozkoszą zażyty, pociąga za sobą niedogodności! Pewien Anglik zrobił raz następne wyrachowanie: Tabaciarz przyzwyczajony jest brać niuch co dziesięć minut; każdy niuch, wraz z drobnemi przygotowaniami, wymaga najmniej pół minuty czasu; to czyni na dzień szesnasto-godzinny dwie godziny i dwadzieścia cztery minuty, to jest dziesiątą część zwyczajnego dnia, czyli jeden dzień na dniach dziesięciu, co na rok trzydzieści sześć i pół dnia wynosi. Jeżli tylko przypuścimy zażywanie tabaki przez lat czterdzieści, to się okaże, iż nos tabaciarza już mu całe cztery lata życia kradnie.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, iż więcej potrzeba mocy umysłu, wyrzec się tabaki, niżeli najgwałtowniejszą namiętność z serca wykorzenić. Nie masz żadnego pana, żadnej kobiety, żadnego przyjaciela,

łoby tak despotycznie, jak tabaka panował: tabaka jest jedyną, która, w prawdziwem znaczeniu wyrazu, ludzi za nos wodzi.

Trzeba sobie koniecznie ustanowić *un mezzo termine*, i wejść w układy ze swoim nosem, jak pewien poczciwy kupiec, handlujący koronkami, który, chociaż zawołanym był tabaciarzem, z obawy jednakże, aby nie uszkodził swego towaru, przepisał sobie prawo nie zażywać tabaki, dopóki sklepu nie zamknie. Codziennie, punkt o piątej godzinie, napadało go kichanie, tak regularnie, iż mu zastępowało miejsce zegaru. Nos jego bił godzinę. Jakkolwiek wypadek ten może wydawać się niepodobnym do wiary, jest jednak zupełnie historyczny.

Radość z okradzenia.

Frenologija nie ma gorliwszego zwolonnika nad Doktora Benech; Gall jest jego bożyszczem; wypukłości i wklęsłości jego wyroczniami. Powiada, że gdyby był Królem, nie obrałby prędzej Ministra, dopókiby starannie czaszki jego nie obmacał. Badawcze jego spojrzenie wciska się tajemnie pomiędzy włosy przyjaciół, służących, słowem tych wszystkich, z którymi jakąkolwiek ma styczność, ażeby wewnętrzne ich poznał usposobienie. Niedawno wydarzyło się, iż wiatr odsłonił pukiel włosów jego kamerdynera, Ludwika Flamancourt, a Doktór, z wielkiem swojem przerażeniem, postrzegł wypukłość złodziejstwa. Odkrycie to uczyniło go niespokojnym, udzielił swego kłopotu najzaufańszym przyjaciołom, którzy wyśmiali tylko tak nazwane przez nich szaleństwo, i poradzili, aby nie oddalał kamerdynera.

We trzy dni zniknął Flamancourt z workiem pieniędzy, który ukradł z komody, odbiwszy zamek. Któż pojmie tryumf Galla i całej jego sekty? *inde jubilationes!*

Ale to jeszcze nie wszystko: Doktór utrzymywał, iż postrzegł prócz tego na czaszcze złodzieja, iż nie będzie posiadał instyktu dobrego ukrycia się; że dla tej koniecznie przyczyny, znaleźć go będzie można niezawodnie w tem a tem miejscu, o tej a o tej godzinie, gdyż jego zwyczajem było zawsze tam uczęszczać, jak zając, wracający zawsze na toż samo legowisko; rozum jego dalej nic bowiem nie sięga. Skutek i to drugie frenologiczne proroctwo jak najświetniej uwieńczył. Ludwik Flamancourt w istocie, jak prawdziwy zając, został złapany w oznaczonem miejscu, o oznaczonej godzinie.

Dziwaczny gust i alegoryje średnich wieków.

Niegdyś we Francyi, na dworskich uroczystościach, nazywano *międzydaniem* dekoracyje, które wtaczano do biesiadnej sali, wystawiające miasta, zamki, ogrody, fontanny wytryskujące rozmaite gatunki likworów.

Na obiedzie, danym przez Karola Vgo, Króla francuzkiego, Cesarzowi Karolowi IVmu, roku 1,378, po mszy, wszyscy goście zasiedli w wielkiej zamkowej sali, gdzie już stoły były zastawione. Król zasiadł pomiędzy Cesarzem i Królem Rzymskim. Były trzy ogromne kredensa: jeden z naczyniami złotemi, drugi emalijowanemi, a trzeci ze srebrnemi. Przy końcu obiadu zaczęło się widowisko, czyli międzydanie. Ukazał się okręt z masztami, żaglami, linami; bandera jego nosiła herby Jerozolimy; na pokładzie stał Godfryd z Bullionu, w towarzystwie zbrojnych rycerzy. Okręt posunął się na środek sali, tak sztucznie, iż nie widziano kierujących nim machin. Po chwili zjawiło się miasto Jerozolima; wszystkie jego wieże okryte były Saracenami. Okręt przybliżył się do niego; rycerze wysiedli i szturm przypuścili: obleżeni bronili się dzielnie; obalono nie jedną drabinę; lecz w końcu miasto zostało zdobytem.

Gdy Karól IX. obiadował u pewnego ślachcica, w okolicach Carcassony, sufit roztworzył się przy końcu obiadu: ujrzano spuszczający się ogromny obłok, który rozpękł się z piorunnym łoskotem, i wyrzucił na biesiadników grad cukierków, po którym nastąpił deszcz wonności.

Mieszkańcy miast, przez które Król przejeżdżał, starali się okazywać swój dowcip w dewizach, godłach i alegorycznych postaciach. »Przy wjeździe Ludwika XI. do Tournay, r. 1,463.« pisze Monstrelet, »z ponad bramy miejskiej spuściła się machiną najpiękniejsza z dziewic całego miasta; powitawszy Króla, roztworzyła szatę na piersiach, ukazując kształtnie zrobione serce: serce to rozstąpiło się, i wyszedł z niego wielki kwiat liliowy, który dziewica, w imieniu miasta, ofiarowała Królowi.
